

Dziennik, czyli kronika niezapowiedzianych śmierci

Część 2 (lata 2019–2022)*

Waldemar Okoń

Uniwersytet Wrocławski

[...] piszę – pamiętnik artysty
Ogryzmołony i w siebie pochylon –
Obłądny!... ależ – wielce rzeczywisty!
Cyprian Norwid

Obserwuję krawędzie chmur i stada ptaków jesiennych unoszących się nad naszymi głowami. Krawędzie są teraz modne w sztuce, ptaki mniej. Poruszam się od lat w pętli biegnącej wokół tych samych ulic. Okolice Ossolineum. Grodzka, plac Nowy Targ. Krążę tam, nigdy nie przechodząc przez most w stronę byłego Schlesische Gesellschaft für Vaterländische Cultur. Ten most jest dla mnie granicą Wrocławia, podobnie jak wiele innych miejsc, w których nigdy nie byłem. Krawędzie chmur zmieniają swoje kształty, mogą być przedmiotem rachunku prawdopodobieństwa albo tematem wycinanki z kolorowego papieru. Są ponadnarodowe i nie znają żadnych granic. Inaczej jest z krawędziami. Są ostre i potrafią skaleczyć, odczuwam to bardzo wyraźnie. Moja bezsensowna wrażliwość, coś, co potrafi zabić i jest jednocześnie formą ucieczki przed spotkanymi ludźmi. Ptaki wirują w niepowstrzymanym pędzie. Wydaje się, że za chwilę stworzą ogromny wir, lej, który wessie je do nieba. Ptaki są mądre i nigdy Bogu na to nie pozwolą. Potrafią się obronić, mają instynkt stadny i nie lubią krawędzi. Patrzę na moje palce, z których cieknie krew. Musiałem się skaleczyć. Musiałeś się skaleczyć, mówisz, zawsze coś sobie zrobisz. To na pewno było skrzydło ptaka, mówię, chmur nigdy nie udało mi się dosięgnąć, nie znam ich języka i one nie znają mojego.



* Są to fragmenty drugiej części mojego dziennika pisanego od r. 2016 (w druku). Pierwsza część, obejmująca lata 2016–2019, ukazała się w serii „Kolekcja Literacka”, której patronuje Oddział Warszawski Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, w r. 2021.

Czytam po latach *Mój Rzym* Jana Parandowskiego. Wydawnictwo Pallotinum w Poznaniu, r. 1959, nakład 10 tys. egzemplarzy. Książka opublikowana na fali odwilży, w której wychwala się kolejnych papieży i opisuje Rzym obecny w pamięci pisarza na przestrzeni kilkudziesięciu lat, nierealny i dzisiaj już nieistniejący. Na piazza di Spagna w r. 1926 późną godziną nastawała taka cisza, że, jak pisze Parandowski:

można by posłyszeć szmer stóp aniołów, które niewątpliwie zstępują ku miastu po schodach Trinità dei Monti, schodach wielkich, wspaniałych i tak wyniosłych, że zdają się prowadzić do nieba.

Jeszcze w *Rzymie* Felliniego na schodach tych siedzieli hippisi i palili trawkę. Teraz zmęczeni swoją pracą stróże porządku nie pozwalają nikomu na nich usiąść, przeganiając turystów w górę i w dół monotonnymi gestami. Wieczne Miasto Parandowskiego jest i nie jest. Można by z jego książką w ręce spróbować ponownie je zobaczyć i niewykluczone, że kiedyś uda mi się to zrobić. Na razie muszę wierzyć, że istniała winiarnia w samym wnętrzu góry kapitolńskiej oraz że monument Wiktora Emanuela strząśł ze zbocza Kapitolu zaśnieżone nawarstwienia zaułków i domów, które trzymały się zboczy kapitolńskich niby ptasie gniazda. Musimy wierzyć dawnym autorom i tworzyć nowe palimpsesty, pokrywane się kolejnymi warstwami kurzu i dostojnego prochu. Według Parandowskiego „każdy ma taki Rzym, na jaki zasługuje: albo go powiększa, albo uszczupla”. W r. 1959, kiedy prawie nikt z Polski do Rzymu nie mógł wyjechać, spisywane przez wybranych opowieści o tym mieście brzmiały jak jakaś baśń lub klechda sezamowa. Na szczęście nie trzyma się już dziś na Kapitolu w klatkach żywej wilczycy i orła. Turystki amerykańskie nadal jednak uważają, że odłana z brązu i stojąca na postumencie rzeźba wilczycy karmi od wieków Romea i Julię.

W bunkrze poświęconym sztuce zielony beton i zielone ściany. Wystawa o polskiej gościnności, wywrotowa i niezgodna z bieżącą linią aktualnie panującej nam partii. Partia wprowadzie nie rządzi bezpośrednio, ale wytycza ideologiczne kierunki. Gdzie ja to już wcześniej słyszałem? Teraz rządzi i nieustannie wytycza. Wyraźny postęp i doskonalenie dyktatury. Sztuka społecznie zaangażowana, o której prawie nikt nie wie. Mała grupka zwolenników i widzów, połowa z obecnych to artyści. Większość z nich pamięta jeszcze dawne czasy, opowieści o ludzie pracującym miast i wsi. Ciekawe: dlaczego taka była kolejność? Wieś to jednak konserwa, miasto – postępowe i nowoczesne. Praca jednoczy, a po pracy zabawa. Gościmy się i pijemy za zdrowie pań, panowie. Jestem coraz bardziej przerażony. Wpatruję się w zielony beton kolejnych stropów bunkra, nasłuchuję szczekania psów, czytam przyklejone do ścian slogany wyjęte z przykościelnych gazetek. W bunkrze jest stała temperatura ustalona przez Niemców jeszcze w czasie II wojny światowej. Utrzymuje się tam do dzisiaj, dzieła sztuki są bezpieczne. Poszu-

kuję Innego, patrzę na moje miasto z wysokości szóstego piętra. Niewiele stąd widać oprócz świateł jadących Legnicką samochodów. Jestem tu obcy wśród ludzi i tak już jest od wielu lat. Muszę mieć jakąś skazę wewnętrzną, ryse, która każe mi uważnie patrzeć, jak winda opada wzdłuż pomalowanych na zielono pięt. Jestem w niej sam. Widzowie zostali na górze. Zieleń wszelka ginie i pozwala mi jeszcze przez jeden dzień przetrwać. Tylko dla Ciebie.

Sen o Warszawie. Jak w starej piosence Niemena. Skrzyżowanie Alei Jeruzolimskich i Marszałkowskiej. Przejście podziemne, dawniej ze sklepikami i wszelkim ludzkim chłamem. Nie mogę zejść, ktoś wymienił schody i pierwsze stopnie przypominają granitową zjeżdżalnię. Dopiero dalej jest w miarę normalnie i można wolno schodzić do sali wykutej w skale, połyskującej świeżością i szarym odcieniem sklepienia. Przechodzimy obok. Sala to Świątynia Narodu, w której nieustannie odbywają się modły i gorliwe dziękczynienia. Na szczęście jest wąska dróżka pod jedną ze ścian, która pozwala dojść do wyjścia z tego podziemia, wprost w światło ulicy. Idziemy, nie patrząc na bok. Lepiej nie patrzeć uważnie, bo strażnicy świątyni wyglądają na ludzi, z którymi raczej nie ma żartów. Przy wyjściu okazuje się znowu, że schody wykonano ze śliskiego granitu, po którym osuwamy się z powrotem na posadzkę sali. Na szczęście ktoś wybawił nas z tej opresji i włączył ukryty elewator, dzięki któremu wydostajemy się na zewnątrz. Uczucie ulgi i jednocześnie pamięć podziemnej sali wypełnionej zapachem wędnących kwiatów i dymem kadzideł. Jestem w państwie PiS, myślę, w państwie PiS.

Dalej Rzym. Znaleziona między papierami książka Mariana Brandysa *Spotkania włoskie*. Socjalistyczna w formie i komunistyczna w treści. Wspaniały fragment o fotografii Mao-Tse-tunga, którego „piękną i tajemniczą twarz” widział w witrynie „Unity”. *Spotkania...* wyszły po raz pierwszy w r. 1950 i Brandys dostał za nie Nagrodę Literacką III stopnia. Niedużo, ale zawsze. Interesuje mnie informacja o wystawie obrazów urządzanej w 1948 r. w Bolonii przez Towarzystwa Domów Kultury Robotniczej prowincji Emilia. Zaproszono na tę ekspozycję najwybitniejszych twórców włoskiej lewicy artystycznej, ponieważ „najwyżej uświadomionym robotnikom włoskim, niezmordowanym bojownikom Emilii chciano pokazać najwyższe osiągnięcia współczesnej lewicowej sztuki włoskiej”. Niestety, jak zauważa nasz pisarz: „stało się to, co się stać musiało”, i pokazano „zbiór bezdusznych, geometrycznie wypracowanych dekoracji, niezrozumiałych, chłodnych, oderwanych od życia i niebudzących wzruszenia”. Brandys powtórzył tu opinię z tygodnika „Rinascita” wydawanego przez Komunistyczną Partię Włoch, gdzie czytamy: „W Bolonii pokazano nam zbiór niezrozumiałych łamigłówek, formalistycznych bohomazów, których żaden zdrowo myślący człowiek nie może uznać za sztukę”. Rzecz bardzo ciekawa – albo czołowi włoscy artyści lewicy nie znali zasad realizmu socjalistycznego i mieli je gdzieś, albo nie byli po prostu artystami lewicy na modłę Związku Radzieckie-

go. Nie wiem, czy badacze polskiego socrealu znają ten fragment myśli autora *Z panem Biegankiem w Abisynii*, którą to lekturę w swoim czasie przeżyłem głęboko, podobnie jak *Śladami Stasia i Nel*. Mam wrażenie, że pewne idee i postawy wobec sztuki obecnie wracają i są pośród nas obecne. Ponownie mówimy o „prostym człowieku”, „suwerenie”, „ludzie”, przenosząc dyskretnie w cień pamięć o klasach, warstwach oraz masach pracujących miast i wsi. Wszyscy oni, mimo upływu 70 lat, nie znoszą formalistycznych bohomazów, myślą zdrowo i tak też wyglądają. Brandys odniósł za grobem zwycięstwo, najwybitniejsi artyści włoskiej lewicy przegrali. Jest remis. Amen.

Słucham zespołu The Stone Roses. Kojarzy mi się z Jerzym Tchorzewskim i jego niegdysiejszym malarstwem. Zespół The Stone Roses nie ma nic wspólnego z Tchorzewskim i jego malarstwem. Ma za to wiele wspólnego z pewną studentką, która przyniosła mi kasetę z nagraniami, a później okazało się, że jest miłośniczką i biografką twórczości krakowskiego malarza. Kolejne znalezisko w archeologicznych warstwach mojego domu. Pierwsze nagranie nosi tytuł *I wanna be adored*. Słucham uważnie. Każdy potrzebuje miłości i podziwu po całym dniu opuszczenia i samotności. Zespół przepadł gdzieś w odmętach czasu i zapomnienia. Współcześni studenci historii sztuki nie słyszeli o Tchorzewskim. Patrzę na ręce, wypełniam ciało treścią istotną dla pamięci. Zastępuje mi życie, którego jest coraz mniej i mniej. Jest mniejsze, jak podpowiada komputer, jest mniejsze. Nurzamy się w strumieniu dźwięków, płynących z koncertu w dalekiej Anglii. Mamy o kilkadziesiąt lat mniej i jesteśmy lekko rozkojarzeni językiem, docierającym do nas przez londyńską mgłę. W Londynie nie ma już mgły. W Londynie nie ma już Londynu. Nas też tam już nie ma. Patrzę na moje ręce, w których kilka kamiennych kwiatów i wodospad, który spada, nie spadając, na ich ciężkie od łez płatki.

Zabriskie Point Antonioniego. Straszna super Ameryka. Dialogi o nasionach, które moglibyśmy zasiać sobie w głowie. Jedne wzrastałyby w sposób uporządkowany i poprawny, inne chaotycznie. Bohater filmu mówi, że ma w głowie dżunglę. Patrzę uważnie, Antonioni pod koniec lat 60. XX w. zobaczył w Ameryce to, czego nie było jeszcze wtedy w takim stopniu w Europie. Szaleństwo konsumpcjonizmu, przy jednoczesnej małości i nikczemności charakteru przeciętnego Amerykanina, ogłupionego reklamami i chęcią zysku za wszelką cenę. Piękna ostatnia scena trwającego wiele minut rozpadu tego świata. Rozpada się wszystko, łącznie z książkami, gazetami, profuzją taniego jedzenia. Filmy z dawnych lat prorocze i mądre. Pamiętam, że w kinie *Zabriskie Point* wydawało się czymś zbyt długim i manierycznym. Pustynia jest mi teraz bardzo bliska. Jestem w niej i trwam w jej głębi, czekając na kolejne słowa. Mam niecałe 20 lat, długie włosy i niewiele więcej do ofiarowania. Czekam na Ciebie, stojąc na jej piaszczystych diunach. W głębi mojego oczekiwania wyschnięte rzeki i jeziora, które były tu

przed wiekami, a teraz przypominają martwą skórę przedpotopowego gada. Ślizgamy się po niej. Jest ciepła, pokryta warstwą kurzu, który utrwała nasze ślady. Punkt, z którego widać więcej. Echo przeszłości zamienione w naszą dorosłą przyszłość.

Patrick Süskind w *O miłości i śmierci* zastanawia się nad aseksualnością Jezusa. Wiedział o niej Diabeł i dlatego zaproponował mu władzę nad wszystkimi królestwami świata, a nie ładne dziewczęta i lubieżnych chłopców. Jak wiemy, propozycja została odrzucona, ponieważ Jezus wprawdzie nie zamierzał zrezygnować z władzy, „lecz w celu jej uzyskania postawił na inną, silniejszą partię”. I dalej:

Ten element kalkulacji, to (niemal) ciągłe opanowanie, fakt, że nigdy nie wstrząsnęło nim odurzenie zesłane przez Erosa, otacza Jezusa z Nazaretu wielkim chłodem, nadaje mu swoisty dystans i nieludzki wymiar. Ale może żądamy od niego zbyt wiele. Może rzeczywiście był tylko bogiem.

Słowo „bóg” pisane małą literą, mała herezja na użytek eseju poświęconego w dużej mierze Orfeuszowi, który według autora *Pachnidła* jest nam bliższy:

mimo swej egzaltacji i późniejszych dziwactw, z racji swej niefanatycznej odwagi, swych dobrych manier, swego absolutnie nieapodyktycznego dowcipu i mądrości – i pomimo oraz z racji niepowodzenia jego misji. Nie ulega wątpliwości, że Orfeusz był kompletnym człowiekiem.

Zastanawia określenie, że Jezus był „tylko bogiem”, i postawienie przez niego na inną, silniejszą partię. Niestety, nie dowiadujemy się, jaka mogłaby to być partia i czy obecny Kościół wypełnia stawiane przez Jezusa, jako przywódcy partii, wymogi. Nazarejczyk jawi się tu jako fanatyczny kaznodzieja, który wymaga bezwarunkowego posłuszeństwa i nigdy się nie myli (poza pomyłką z wyborem Judasza), a deklarując miłość do całej ludzkości, tak naprawdę nie kocha nikogo. Orfeusz, kochając jedną kobietę, kocha całą uosobioną w niej ludzkość. Chętnie posłuchałbym naszych księży, co o tym sądzą i czy piekło Süskinda nie minie. Wiem, że nie takich wysyłali na stos i jak się wydaje, te stosy nadal w nich delikatnie, lecz silnie płoną.

W jednym z tureckich mitów Czas próbuje się wyrwać na swobodę spod skrzydeł boga o imieniu Kara Han. Woda, która była przed Czasem, spłoszona próbami ucieczki Czasu zanika i powstaje nicość, bez pieśni, bez miłości, bez kochania. Kręgi wodne pędzą gdzieś rozproszone i jedynym miejscem, w którym mogłyby się schronić i znaleźć sobie nowe schronienie, jest już tylko częściowo uwolniony Czas. A Czas „z natury gorzki i bezwzględny, okrutniejszy niż pijane urwiska”, czeka na nie jak przepaść bez dna „z krwawą różą w ustach, z czarą wina w dłoni”. Walka żywiołów kończy się tym, że Czas wyzwala się ostatecznie, i tak zaczy-

na się jego wolność i panowanie nad światem. Wodzie udaje się przetrwać i powrócić do źródeł, z których do dzisiaj ją czerpiemy. Z całej tej opowieści najbardziej podobają mi się określenia Czasu, że jest gorzki i bezwzględny, okrutniejszy niż pijane urwiska i że czeka na nas – istoty zrodzone z wody, z krwawą różą w ustach i z czarą wina w dłoni. Alegoria przemijania w barwach czerwieni i szaleństwa. Byłem dzisiaj na cmentarzu na grobie ojca. Zapaliłem światełko, postawiłem chryzantemy. Nie miałem przy sobie ani róży, ani czary wina w dłoni. Pijane urwiska są coraz bliżej, woda wysycha szybko w ten zimny, mglisty poranek. Strącam na grób kilka kropel z nadzieją, że ofiara zostanie przyjęta.

Dzisiaj Merkury przechodzi przez tarczę Słońca. Mało kto o tym pamięta. Następne przejście za 13 lat. Patrząc w promienną tarczę. Widzę trzy gwiazdy i złote powidoki na końcówkach rzęs. Niebo jest potrójne. W telewizji Obchody. To wszystko staje się wręcz nie do zniesienia. Menażeria, na którą muszę patrzeć już od czterech lat. Oczy zachodzą mi łzami. Merkury stopił się w ogniu i już prawie go nie widać. Ostatnio chodzimy na koncerty do Synagogi pod Białym Bocianem. Wadim Brodski i József Lendvay. Skrzypek wybitny i skrzypek genialny. Sztuka uszlachetnia, nawet w rocznicę Nocy Kryształowej. Nie umiem pisać o muzyce, jestem wobec niej całkowicie bezradny, tym bardziej że koncerty niosą ze sobą wprost do mojej jaźni płynne powietrze i miękkość aksamitu połączone z dźwiękiem tłuczonego szkła. Wszystkie dźwięki zabieram do domu, zawijam w chusteczkę, słucham ponownie, modląc do Boga Abrahama i Izaaka o kolejny dzień spokojnego słońca. Nowi faszyci rozwijają flagi europejskie, aby je później spalić. Wysyłam ich na Merkurego. Tam jest sporo ognia i na pewno nie ma Europy. Będą szczęśliwi, a my będziemy ich obserwować przez ogromne lunety. Noc Kryształowa była w tym roku wyjątkowo ciepła. Piszę o tym, ponieważ być może za 13 lat nikt o tym nie będzie już pamiętał.

Idę ulicą Szewską i mam wrażenie, że jestem na niej zupełnie sam. Znikają ludzie i rzeczy. W jakimś sensie mój wzrok ich kasuje, wprowadza w niebyt. Pozostają sylwetki, obojętne kontury, rysujące się na ścianach kamienic. Tak musi wyglądać nasz świat z punktu widzenia Stwórcy. Teatr cieni odbity na murze, obraz jak po wybuchu bomby atomowej w Hiroszynie. Sprawa niegodna uwagi, którą można pominąć i pójść dalej. Okropny dzień, w którym wszystko może się zdarzyć. Z nikim nie rozmawiam, mówię przed siebie i do siebie o sztuce XIX w. w Polsce. Ekraniki smartfonów migają pod stołami, leżąc intymnie na kolanach pięknych studentek. Pęd życia unosi się ponad mailami, wirują kręgi nowych wiadomości, wszyscy są połączeni ze wszystkimi, osiągając stan głębokiej harmonii. Patrząc na to z pobłażaniem. Wiem, że tych osób nie ma, one tak naprawdę nie istnieją. Zatopiły się w sieci jak ryby i nigdy już z niej nie uciekną. My, starzy klasycy, staramy się istnieć samodzielnie. Przez to nie istniejemy i nigdy już nas tak naprawdę nie będzie. Nie będzie późnego wnuka i syna, który minie

pismo. Być może zresztą też nigdy nas ostatecznie tutaj nie było. Jak w pięknym wierszu o spóźnionej miłości, która zagubiła się w przedwojennym Berlinie i pozostała tylko we śnie, w myśli, w legendzie. Odtwarzam strzępy tekstu z pamięci. Odtwarzam ulicę Szewską z pamięci. Pada deszcz, cienie znikają pod trotuarem. Powinienem sprawdzić ten wiersz i sprawdzić, czy nie zapomniałem telefonu. Zawsze go zapominam i przez to pochłania mnie coraz szybciej czarna materia. Na Szewską opadają liście z drzew, których też tu nie ma. Jestem zupełnie sam, czekam na kolejne dobre wiadomości, umierają pięknie i młodo.

„Faktem jest, że każdy twórca poprzedników swoich stwarza” – pisał w eseju o Kafce Jorge Luis Borges. Jeżeli jest to prawdą, a nie mam powodów, aby nie wierzyć Borgesowi, stworzyłem w *Dniowniku* już kilkudziesięciu twórców, w tym tak wielkich jak Rilke lub Norwid. Patrzą mi uważnie na ręce, chcą wiedzieć, czy będę ich stwarzał dalej. Są już nosy, palce, nogi, nieco wnętrzości, fragmenty mózgu. Ja też jestem we fragmentach i wycinkach skóry, oczu, seksu. Z tym jest gorzej. Oni byli najczęściej bezcieleśni i psychodelicznie uduchowieni. Niewielkie sugestie, odpryski w listach, aluzje w opowiadaniach, mięso zamienione w pierze, a nawet w puch ptasi rozsypywany na wietrze. *Unio mystica*, przenikanie światła rzeczy widzialnych i niewidzialnych. Jak pisał Rilke:

Anioł i lalka, wreszcie widowisko,
Wtedy się złączy to, co nieustannie
Tu rozdajemy sobą...

I dalej:

Wtedy ponad nami
grę zaczniesz anioł.

Moje rozprute lalki, ich otwarte brzuszki. Nie ma wśród nas anioła, jakoś nie przyszedł i pewnie już nigdy nie przyjdzie. Nie jest nam potrzebny, wolimy trociny i brud życia. Pamiętam klinikę lalek przy placu Uniwersyteckim. Zawsze przyglądałem się tam lalkom wystawionym na bezwstydne spojrzenia przechodniów. Niektóre z nich mówiły „mama”, ale nie było zbyt wiele słyhać przez szybę. Domyślałem się tego po niepewnych ruchach ich warg, po próbach przykrycia dziury, z której wydobywał się głos. Wiem, że na pewno im współczułem, bałem się ich powtarzalnych gestów, bezradnego kiwania główką. Później chodziłem nieopodal do pojezuickiego kościoła. Szukałem tam anioła, grającego w grę złożoną ze szklanych paciorków. Nigdy go nie spotkałem. Widocznie był jak dla mnie zbyt wysoko.

Karmię się wyrwanymi z kontekstu cytatami. Mam gdzieś kontekst i całość cudzych wypowiedzi. Wycieram starannie gumką ich autorów, odsyłam przypisy do piekła filologów. Dziubię jedno ziarno i to mi wystarczy.

Wszystkie organy wyostrzone w poszukiwaniu właściwych słów. Święte czułki wysunięte jak najdalej. „To wymaga bardzo złożonej logiki, zobaczyć okno tam, gdzie go nigdy nie było” – powiedział guru sztuki amerykańskiej, Robert Irvin, i kazał wybić okno w ścianie pewnej włoskiej rezydencji. Piękny pomysł, ponieważ w ten sposób ujawnił pejzaż znajdujący się za oknem i przywrócił wnętrzu domu właściwy wymiar, wybiegający poza zamknięty przez człowieka fragment przestrzeni. Jedna usurpacja przeciwko drugiej usurpacji. W sztuce wszystko jest możliwe, pomyślałem, Irvin zrobił na niej miliony. Zrobił, a nie zarobił, ciężka praca z młotkiem i trzecim wymiarem. Alberti nigdy by się nie ośmielił na taki gest. Po prostu otwierał okno i przez nie patrzył. Nie znał wnętrza pustyni, nie latał awionetką nad Nowym Meksykiem, którego wtedy jeszcze nie było. Wolę rozmawiać z Albertim, jego logika bardziej mnie przekonuje. Wycieram gumką Irvina. Trochę się broni, ale znika poza zwałami piasku. Chowam czułki, zamykam okno. Pochłodziło, szukam kolejnego pokarmu. Kolacja ludożercy ma swoje uroki.

Wieczorami czytam Otto Weininger *Płeć i charakter*. Piękna książka i jakże prawdziwa. Żyd, który był wybitnym antysemitą, mała, perwersyjna kobieta, która w nim przemieszkiwała, będąca wybitnym mizoginem. Urocze zdanie, że „szczęśliwe są tylko niewiasty, ponieważ szczęśliwą może się czuć tylko istota zupełnie bierna, jak kobieta, albo zupełnie czynna jak bóstwo”. I kolejne: „Ponieważ jednak każdy mężczyzna pozostaje w pewnym stosunku do idei najwyższej wartości, nigdy całkowicie w idei tej nie uczestnicząc, dlatego nie ma mężczyzny, który byłby szczęśliwy”. Coś o mnie. Nie wiem jedynie, w jakiej idei najwyższej wartości uczestniczę, poza tym reszta się zgadza. I wytłuszczonym drukiem: **„Kobiety nie mają ani istnienia, ani jestestwa; nie istnieją i są niczym. Jest się mężczyzną albo jest się kobietą odpowiednio do tego, czy się w ogóle jest, czy nie”**. Weininger, zdaje się, nie przewidział stanu trans i queer. Najprawdopodobniej był im najbliższy, dlatego ich nie zauważył. Potykał się o kobiety, przechodząc przez nie jak przez puste powietrze. Sam istniał jedynie potencjalnie, włócząc się nocami po ulicach niszczonej przez wiedeńską Apokalipsę. Zakładał, że istnienie jest moralne i logiczne. Ta logika go zabiła. Co zrobić z kimś, kto jest moralny i nielogiczny? Albo niemoralny i logiczny? Jest sporo takich potworów, niestety Immanuel Kant ich nie przewidział. Patrzę w niebo na gwiazdy. Jedna z nich jest gwiazdą samobójców. Świeci jasno jak niebieski imperatyw. Niedługo zabłyśnie po raz kolejny i na pewno nie po raz ostatni.

Godzina wilka, 4.48, budzę się wtedy coraz częściej i staram ponownie zasnąć, ale niezbyt mi się to udaje. Nieczyste sumienie, uczucia w rozpaczy, karuzela obrazów wirujących ponad łóżkiem z Ikei. Przerwa w podróży i nigdzie nie muszę się już spieszyć. Wilki wyją w dalekim lesie, zbierają watahę, chcą przyjść do naszego domu i zamieszkać w nim na zawsze. Atawistyczne lęki w środku uspionego miasta. Czytam tekst

o lalkach, w którym nie ma nic o lalkach, za to jest dużo o Husserlu i Heideggerze. Świat najwyraźniej oszalał. Husserl i Heidegger jako lalki z odkręcanymi główkami i rączkami, w puszystych peruczkach zrobionych ze starego sznurka. Moje wizje stają się niebezpieczne, wilki podchodzą coraz bliżej i kocham je coraz bardziej. Może zjedzą kukiełki Husserla albo Heideggera i raz wreszcie będzie z nimi spokój. Łóżko zaczyna niebezpiecznie przypominać leśną polanę pokrytą śniegiem. Świeża pościel, mówisz, najważniejsza jest zawsze świeża pościel. Stalin podobno rysował głowy wilków na marginesach podpisywanych przez siebie list z wyrokami śmierci, ale wilki nie są temu winne. Ich godzina minęła/mija tak szybko, jak do nas przyszła/przychodzi. Jest już 4.49 i możemy ponownie zasnąć. Lalki leżą na poduszce, są zaspokojone i jutro będzie można się z nimi bawić w filozofię albo w doktora, co kto lubi.

Często między Kuźniczą a Szewską spotykam mężczyznę objuczonego tobołami, który odbywa swoją tajemniczą podróż, idąc nie wiadomo skąd i w sobie tylko znanym kierunku. Ma rozwichrzone włosy i lekki obłęd w oczach, czasami zaczepia ludzi, prosząc o jakieś wsparcie, ale nie jest nachalny, odchodzi zaraz, przyzwyczajony do powszechnej ludzkiej odmowy. Kiedyś zaczepiał i mnie, ale najwidoczniej doszedł do wniosku, że to nie ma sensu, ponieważ spotykamy się prawie codziennie i nie mogę bez przerwy mu pomagać. Wiem jednak, że mnie rozpoznaje i stara się wtedy jakby przeproszać wzrokiem za swe żebracze zachowanie. Mijamy się szybko, zdarzało się nawet, że widząc go z daleka, przechodziłem na drugą stronę ulicy, czego serdecznie żałuję i postanawiam się poprawić, a Ciebie, ojcie duchowny, proszę o pokutę i kapłańskie rozgrzeszenie. Idą święta, a on zawsze w tym samym rozpiętym płaszczu, z warstwami swetrów i wydeptanymi butami. Przeszedł już chyba pół świata i została mu druga połowa, którą być może przejdzie przed śmiercią, omijającą go najwyraźniej, tak jak ludzie, z daleka. Lubimy się nawet i patrzymy na siebie ze zrozumieniem. Staram się zrozumieć jego podróż, on moje uparte trwanie w tym samym miejscu od kilkadziesiątu już lat. Być może kiedyś się spotkamy w punkcie zero, na krańcach horyzontu. On wtedy się zatrzyma i będzie patrzył uważnie, jak wyruszam w najdłuższą wędrówkę, dźwigając kilka tobołów, z szaleństwem w pociemniałych oczach.

Znowu niedobry sen. Jak zawsze jestem spóźniony i nie mam swoich bagaży, po które muszę wrócić do hotelu. Tym razem jeżdżę na szczęście samochodem, ale samochód w pewnym momencie znika i zostaję sam na pustej ulicy. Na jej końcu pojawia się niespodziewanie dwóch mężczyzn z kolczykami w uszach. Najwyraźniej nie podoba im się moje spojrzenie lub wygląd i to, że przyglądam się ich kolczykom. Muszę się schować w bramie i pozostać tam przez kilka minut, ale niewiele to pomaga. Jeden z nich najwyraźniej chce mnie uderzyć i w tym momencie się budzę z dziwnym przeczuciem, że stało się coś niedobrego. Umarł Andrzej Jarosz, z którym spotkałem się kilka dni temu na wystawie

w Muzeum Współczesnym. Rozmawialiśmy długo jak nigdy przedtem i wszystko wydawało się nareszcie w porządku. Wystawa, praca, finanse, stan odpoczynku i uspokojenia. Andrzej był jednym z najlepszych ludzi, jakich udało mi się w życiu spotkać. Być może po drugiej stronie powstała jakaś luka, wyrwa pośród sprawiedliwych i trzeba było ją kimś wypełnić. Pustka nie jest pojęciem wyłącznie ziemskim, zdarza się zawsze i wszędzie i ktoś ją musi łątać i cerować dobrymi ludźmi, którzy przez to odchodzą od nas zbyt szybko i niespodziewanie. Kronika niezapowiadanych śmierci zaczyna się wypełniać w coraz szybszym tempie. Na wrocławskich ulicach przedświąteczne słońce. Ciemność jednak zapada codziennie, jak to w grudniu, coraz wcześniej.

Co jakiś czas przypominam sobie o papirusie, który stoi na parapecie. On nie umie mówić i nie może przypomnieć mi o wodzie życia. Więdnie przez to i umiera delikatnie i z godnością. Staram się to odpokutować i wtedy podlewam go nadmiernie, co też jest dla niego niezbyt dobre. Tak żyjemy w nieudanej symbiozie, samotna roślina i nieuważny człowiek. Dolne listki spadają na parapet, który wszystko przyjmie. Jest tam sporo innych rzeczy, które być może kiedyś opiszę. Na przykład kiwający się na słońcu chiński Budda lub mój portret z laurowym wieńcem na głowie. Do doniczki z papirusem wkładam różne flagi, w tym klubową Barcelony. Egipt spotyka się w niej z Hiszpanią, a Barcelona z chińskim Buddą, który stoi tuż obok i porusza rytmicznie łysą głową. Wszyscy czekają na chwilę mojego przyjścia z kubkiem wody, na przyływ wielkiej rzeki. Delta wypełnia się po brzegi, wiem, że nie będzie głodu, ognia i wojny, a pewien skryba usiądzie na piasku pustyni i zapisze pismem hieratycznym opowieść o drewnianym parapecie, usychającym papirusie i figurce wyprodukowanej w Chinach, jak cały obecny świat i jego najbliższe i najdalsze okolice.

Chodzę po korytarzu na czwartym piętrze, gdzie szereg drzwi do pokoi i tabliczki z godzinami konsultacji. Jest pusto, studenci najprawdopodobniej wymarli, pracownicy zamknęli się w swoich jamkach i norkach. Wysuwają z nich czasem główki jak surykatki albo pieski pustynne. Mam wrażenie, że odbijam się od ścian, a właściwie odbija się od nich mój zwielokrotniony cień, który nie może się pomieścić i stara się uciec stąd jak najdalej. Odrobina szaleństwa, pamięć czyichś kroków, nazwisko zatarte i coraz mniej wyraźne na wizytówce. Mówimy: to niemożliwe, to nie mogło się wydarzyć, mówimy: śmierć jest zbyt szybka, jej cichy, podniebny lot, który osnuwa od dawna nas wszystkich. Idę do windy. Czasami spada aż do podziemi i dopiero tam czuję się bezpieczny. Na korytarzu sztuczna choinka i automat z paskudną kawą. Nic się nie zmieniło. Rzeczy nie zmieniły swoich miejsc, trwają na posterunku, przyglądają się, jak szamoczemy się niepewni do końca swojego istnienia, obecności po śmierci bliskiego przyjaciela. Ulica Szewska też się nie zmieniła. Przeniesiony przystanek tramwajowy, przy którym nie

zatrzymują się już tramwaje. Pusta przestrzeń wydobyta z ulicznego bruku i ściany pomalowanej na żółto niezmywalną farbą. Wtapiam się w tę pustkę, wypełniam ją moim cieniem i resztkami skóry i mięsa. Dusza szybuje nisko ponad brukiem. Jest niewidzialna i przypomina postrzelonego ptaka lub skrawki papieru unoszone na wietrze. Mówimy: piękny obraz i jaki prawdziwy. Mówimy: szkoda, że nikt go nie zauważył. Mówimy: reszta jest milczeniem.

Mit strumienia piękności, który płynie przez niezbyt pięknego moralnie artystę. Opowieść o Winkelriedzie i oszczepach przyjmowanych w patriotyczną i artystyczną pierś. Poświęcenie nie jest już aktualne. Pycha – ta pozostała. Strumienie informacji płyną przez wszystkich i piękno nie jest bynajmniej ich ostatecznym celem. Mało kto je wspomina, wolimy mówić o designie i o modzie lub o kuchni, lub o designie w kuchni, wolimy mówić. Szukam go od rana, strumienia, przepływu tajemniczych prądów, energii płynącej z nieznanego źródła. Być może jestem za mało amoralny, niezbyt grzeszny i stąd moje problemy. Muszę się poprawić, zgrzeszyć i skrzywdzić ubogą wdowę albo kolejną sierotę. Muszę porzucić, podeptać, złamać, zniszczyć i wtedy na pewno się uda. Czuje, że jestem już blisko celu. Wystarczy odsłonić się, otworzyć na zło, przecież diabeł nie śpi, a szczególnie w okresie świątecznym, kiedy musi się bardziej starać i zabiegać o zbłąkane dusze. Czy jednak zna się on sztuce i czy piękno w ogóle go interesuje? Zna się na pewno na pysze i na patriotyzmie przekształcanym w nacjonalizm, kocha chciwość i fałsz, brzydotę i pogardę dla innych. Mówię mu: idź do diabła, i przygotowuję lekkie śniadanie, ustawiam na stole designowe talerze, ubieram wykwintnie i gustownie zarazem. Strumień płynie przez srebrną zastawę i porcelanowe filiżanki. Lekko mnie omija, znika pod obrusem, nie daje się zatrzymać. Co jest u diabła, myślę, dlaczego tak się dzieje? Widocznie nadal jest we mnie zbyt mało zła i strumień to szybko wyczuwa. Parzę kawę, wchłaniam jej ciemną moc i cierpki zapach. Ona mi pomoże. Najlepsza jest arabica z Kolumbii i ekspresy firmy Nespresso. Sprawdzam w smartfonie, porównuję, czekam na kolejne oferty reklamowe.

Jeżeli pogodzisz się ze swoją odmiennością, osiągniesz spokój. Zdanie, które usłyszałem na filmie klasy B zrobionym za pieniądze klasy A. Źródła odmienności, poszukuję ich nieustannie. Nie do końca jest prawdziwe. Wolałbym przypominać tych z przeciwka, tych z Rolnej i Fromborskiej, wtedy osiągnąłbym spokój. Pogodziłem się już z tyloma rzeczami i godzę nadal. Epoka bezsilności psychicznej, fizycznej i na końcu politycznej. Żyjemy w jej środku jak w kapsule wypełnionej mgłą lub zastygającą magmą. Staramy się z niej wyzwolić, protestujemy, walczymy o nasz skrawek podłogi, piszemy książki, których nikt nie czyta, oddychamy z coraz większym trudem. Haust powietrza i potem pod wodę. Ludzie stoją na brzegu i nie widzą, że toniemy. Są pozornie szczęśliwi, płyną z prądem i nie muszą nawet wiosłować. Na karteczce świątecznej zrobionej przez Weronikę przed wielu laty zwierzątko biegną w stronę

choinki, pod którą leżą paczki z prezentami. Są uśmiechnięte i szczęśliwe, ponad nimi trwa noc betlejemską. Patrzę na ten ekumeniczny obrazek, leczę niepokój. Moja odmienność kładzie się obok moich nóg jak wierny pies. Stanowi niewidzialny pancerz, udowadnia, że coraz więcej rzeczy wokół mnie jest teraz niewidzialnych. Niewidzialny człowiek osiągnął spokój, kiedy stał się w chwili śmierci dla wszystkich widzialny. Finał zniechęcający do odmienności. Wolę książki i filmy, które się dobrze kończą, i własny, wewnętrzny niepokój, który nie pozwala mi na ostateczne pogodzenie, nawet po obejrzeniu filmu klasy B o duszy zamkniętej w plastikowej, wypełnionej elektroniką muszli.

Jestem coraz bardziej uważny. Obserwuję, staram się zrozumieć i zapamiętać. Dzisiaj zaskoczenie między Szewską a Kuźniczą. Nigdy dotąd nie dostrzegałem, że kostki brukowe ułożono tam w ozdobne wachlarze jak w Alicante lub Rio de Janeiro. Wprawdzie nie mam tu morza ani oceanu, lecz wzór powtarza tamte w znacznie uboższej, za to w miarę dokładnej formie. Ludzie przechodzą nad tym wzorem, nie zastanawiając się nad jego pierwotną i sięgającą cywilizacyjnej otchłani ludzkości funkcją. Potrzeba ozdobienia czegoś, wyjścia poza użyteczność, która wcale nie jest prosta, a jednak potrafi zatrzymać rozwój naszej wyobraźni, wolę tworzenia, instynkt twórczy na elementarnym poziomie. Ozdabiam siebie tekstem *Dniewnika*, tutaj są moje nadmierne ornamenty, liście akantu i regencyjne róże, wstęgi girland i szarfy, oplatające piersi i biodra. Idę w stronę ulicy Kotlarskiej, gdzie produkowano kotły, i Odrzańskiej, spadającej w stronę Odry. Wachlarze zanikają, przemieniają się w szary bruk. Dzień jak co dzień niepogodzony ze sobą, ozdabiany jedynie wysypem uczestników religijnego zgromadzenia, „Tezeuszy”, jak słyszę. Śpiewają i tańczą, chwalą Pana, pytają o drogę do nieba. Powracam na moje wachlarze, słyszę szum fal, układających się w delikatne sploty. Jestem tylko ja i one. Rozumiemy się bez słów i tańczymy bez nadmiernych gestów. Pan jest nam do tego zupełnie niepotrzebny.

Spotkanie w galerii „Neon” ku czci Jana Jaromira Aleksiuana. Dużo ludzi, dużo artystycznych pudełek wypełnionych tajemniczą treścią. Opowieść o kokonie, o bańce, w której przebywa artysta, i o krytykach, którzy chcą się do tej bańki dostać. Jeżeli przekłują jej napiętą i często niewidzialną powłokę, artysta i jego sztuka znikną. Można jedynie próbować i starać się coś zobaczyć poprzez migotliwą powierzchnię. Z kolei artysta próbuje z niej wyjść, ale tym prawdziwym nigdy się to nie udaje, jak w dawnym malarstwie ukazującym zbawionych i potępionych. Myślę o moim kokonie. Na razie jest zupełnie nieprzezroczysty. *Dniewnik* ma to zmienić, ale nie wiem, czy zdąży to zrobić. Czy ja zdążę, pisząc pod panowaniem panteizmu, już nie druku, ale złowrogiem i złowieszczej sieci. Czuję, jak mnie otacza, jest wszędzie, zaciska się na gardle i chce wyssać wszystkie żywotne soki. Jak z morskich stworzeń, które duszą się uwikłane w niewidoczne dla nich, zabójcze sploty.

Pijemy wino, opowiadamy o tym, jak to było dawniej. Wraca niegdyś Wrocław i jeszcze bardziej odległe Wilno. Pudełka się otwierają i zamykają, artysta jest szczęśliwy, ponieważ jego obrazy są mądre i pozwoliły mu przetrwać kilkadziesiąt niezbyt łatwych lat. Sieć jeszcze go nie dopadła i nie musiał z nią walczyć. Pada deszcz, na ulice pada coraz większy deszcz.

Nurzamy się w sztuce. Obmywamy sztuką. Jesteśmy przez to czyści i niepokalani. Sztuka spływa po naszych barkach i biodrach, dotyka seksu, spada na stopy. Jest cielesna i bezcielesna jednocześnie. Wyobrażam ją sobie jako wiecznie opadający na ludzi strumień, wilgotne tchnienie, które wtapia się w krwioobieg, najczęściej nie przebijając czaszki. Odrzuca przez to nadmierną racjonalność, nie poddaje się filozofom i matematykom, jest wolna i niepochwytana jak woda w spadających z góry wodospadach. Nie można odwrócić jej biegu, nigdy nie powraca dosłownie i nikt nie zdoła zatrzymać jej ciągłego, dynamicznego nurtu. Przyprawy i odpływy, jak w oceanie, akwatywny świat sztuki, który dotyka i faluje nieustannie. Kolejne obcowania ze sztuką. „Obcowanie”, dziwne słowo, pojawiające się w odmiennych kontekstach i pozornie odległych od siebie sytuacjach. Świętych obcowanie, obcowanie płciowe, wyobcowanie, obcy, obcokrajowiec, „zarwać obczyzny” (to Matejko). Koncert Roby’ego Lakatosa w Narodowym Forum Muzyki, wernisaż Natalii w „mia” Art Gallery. Dzień po dniu w czasie marnym, kiedy niszczy się u nas niezawisłość sądów i kpi z ludzi, mając ich najwyraźniej za idiotów. Sztuka ma nas chronić, pozwala przetrwać, uratować resztki sensu. Nurzamy się w sztuce, ale część z nas jest nadal na powierzchni. Patrzy uważnie, stara zapamiętać, pisze Księgę, spisuje czyny i kłamstwa władzy. Patrzy na ręce. To takie piękne określenie. Patrzy na ręce.

Sen Jerzego Nowosielskiego. Po wyjściu z marnej wystawy malarstwa zasnął w domu i przyśniło mu się wzgórze świątynne z doryckimi budowlami, w których niewiarygodnie piękne malowidła rozmawiały ze sobą i poświadczały istnienie malarskiego absolutu. Później starał się chociażby zbliżyć do niego, ale nigdy mu się to nie udało. Sen Danusi. Nad rzeką jej dzieciństwa zgromadzenie kobiet, które patrzą na przepływająca wodę i są szczęśliwe. Piękno, szczęście, sztuka, ukojenie dotykane poprzez senny woal i bezgraniczny smutek po przebudzeniu. Ostatnio nic mi się nie śni. Muszę korzystać z cudzych snów. Tworzę opowieści oniryczne, które są bardziej realne niż to, co mnie spotyka na co dzień. Żyje/żyjemy z dnia na dzień. Opowiadam o naszej historii, przywołuję zmarłe postaci. Nie wiem, po co to robię. Powinienem zapisywać chwile ulotne, nieustannie walczyć o swoją poezję. Mam już jej dosyć. Wyganiam spod łóżka, na ulicę, jak najdalej. Wraca i stoi pod bramą. Ani śni, ani się budzi. Jak René Magritte, jak tylu innych. Trwam/trwamy w stanie zawieszenia. Wzgórza świątynne się oddalają, rzeka płynie coraz wolniej. Pozostajemy tylko my dla siebie, przy sobie, wobec siebie, dzięki sobie. Język polski ma w tej materii tak wiele możliwości.

Materię trzeba przeanielić, aby mogła przetrwać trudne czasy. Jeden z naszych obrazów spadł niedawno na podłogę i się potłukł. Musimy go naprawić i będzie tak, jak było, tak jak zawsze.

Pisanie o pisaniu ma coraz mniejszy sens. Pisanie o czytaniu też nie jest lepsze. Pisanie o życiu ma sens. Życie nie jest pisaniem i nie jest czytaniem, dlatego ma sens. Sam jestem pisaniem i sens mojego istnienia jest przez to wątpliwy. Odczuwam to coraz wyraźniej, zamykam w słynnej wieży z kości słoniowej, ostrzę pazury. Logika mnie zabija. Staram się od niej uwolnić, myślę o kolejnych osobach tego zapisu. O Tobie, o nich, o kolejnych latach, których najprawdopodobniej nie będzie. Kronika niezapowiedzianych śmierci wypełnia się coraz bardziej. Teraz profesor Andrzej Klimczak-Dobrzaniecki. Byliśmy kiedyś razem w Opolu w *jury* jakiegoś konkursu plastycznego. Bardzo dobry malarz i tylko bardzo dobry malarz. Współcześnie to za mało. Nie robił performansów, nie atakował świętości, nie obnażał w miejscach publicznych, nie był celebrytą, nie pokazywał w mediach społecznościowych. Pisanie o malarstwie ma coraz mniejszy sens. Malarstwo jest pozbawione wymaganego obecnie intelektualnego bełkotu, jest czyste i otwarte na spojrzenia, niesie radość jak odczytanie hieroglifów, jak skok do chłodnej wody w upalny dzień. Zapisywanie kolejnych porównań nie ma sensu. Walczę z bezsensem, liczę na kolejne cukierki, na dary od losu. Czarna nić ulega niekiedy przerwaniu, ale wraca w dwójnasób. Pisanie o niej nie ma sensu. Po prostu jest.

We śnie włoskie miasto z trzema wieżami. Spotykam ich właściciela, który opowiada o tym, ile już pracy włożył w odbudowę pierwszej, najwyższej ze wszystkich. Ściany są nadal poniszczone, a część muru osypuje się na plac, na którym wieża stoi. Chciałbym wjechać na szczyt, ale windy nie ma, a wejście po drewnianych schodach jest dość ryzykowne. Pamiętam słowo „ryzykowne” i poważną twarz właściciela, który wie, że nie doczeka końca swojej pracy. Pocięszam go, jak umiem, i budzę poruszony pięknem budowli i powagą dawnych ruin. Na szczęście sztuka trwa nadal i nie musimy dzisiaj nigdzie wychodzić. Dopiero wieczorem koncert Jesse’ego Cooka w Forum i jego gitara ponad wszystko. Zawsze zazdrościłem muzykom ich uniwersalnego języka. Mogą mówić wszędzie i do wszystkich, nie napotykając żadnych barier, uprawiają najwyższą ze wszystkich sztuk. Poezja musi przegrać. Siedzi zahukana w przedpokoju, obgryza nerwowo paznokcie. Nikt jej nie chce, nie wnika wprost do ciała, nie porywa tłumów. Biedna i opuszczona trwa w ciemnych piwnicach, wysłuchuje cierpliwie ataków małych ludzi. Jest sama sobie winna, za trudna i niedzisiejsza, za to z wielkimi pretensjami do wielkości. Na koncercie dajemy się porwać muzyce, tańczymy i klaszczemy rytmicznie. Małe dziewczynki wystrojone świątecznie tańczą ze swoimi lalkami. Jest pięknie i dobrze. Wieże powstają z ruin, miasta ożywają o zmierzchu. I tylko ta poezja, ta biedna poezja...

Dzisiaj rano silne wrażenie na korytarzu, który nagle wydał mi się jakby niższy i zbyt mały, abym mógł przejść nim do końca. Mam wyraźnie halucynacje i zachwianie wszystkich kierunków w przestrzeni. Nawet mi się to podoba, skrócony dystans, połamana perspektywa, jak u dawnych rysowników, którzy szli po podniebnych schodach prowadzących donikąd. Później wizja za ciasnego ubrania, opiętych spodni i koszuli ze zbyt krótkimi rękawami. Ktoś poda mi grubszą zbroję, jestem silniejszy niż wczoraj i kilka dni temu. Nie pamiętam, skąd ten cytat, pewnie od jakiegoś romantyka, który nigdy nie uczestniczył w żadnej prawdziwej bitwie. Odgryzę kawałek grzyba i wtedy zmaleję jak biedna Alicja albo położę się na schodach i zasnę snem sprawiedliwego. Moment utrwalony w czasie nie chce się skończyć. Czas osiada mi na rękach, wciska się do kieszeni kurtki, wyrzuca stare bilety. Robią się od niego plamy i plamki, marszczy skóra. Korytarze zapętlają się za oknem i nikt już nie wierzy, że ktoś tu kiedyś popełnił samobójstwo. Na dziedzińcu stare malowidła, które niedługo zamalują nowi właściciele. Dwie święte ze świecami w dłoni wydobyte ze starego ikonostasu. Patrzą na nie od wielu zamkniętych już lat. Klucz od nich się zagubił, korytarz otworzył na pobliską rzekę, ja zmaliałem wyraźnie i gdzieś przepadły moje czarodziejskie grzyby.

Kolejność rzeczy, której nie potrafię ustalić. Seria przypadkowych spotkań i opowieści, które staram się nieudolnie zapamiętać. Moja mała filozofia na prywatny użytek. Coś z matematyki i coś z wyobraźni, zamykającej się nad ranem. Po co pisać zdanie, jeżeli masz całe i skończone słowo. Prawda elementów pierwotnych i niezapisanych. Po co pisać rozdział, jeżeli masz całe zdanie, po co książkę, jeżeli masz już rozdział. Szczęśliwie nie piszę książek, nie muszę tego robić. Zapisuję moją świadomość wywleczoną z mózgu i mięśni. Chciałbym, aby była dynamiczna i aktualna, ale do końca mi się to nie udaje. Aktualność prowadzi do rzeczy obojętnych nazajutrz, dynamika do nadmiaru. Dzieci Saturna tego nie lubią, przestrzegają przed tym, co ma nadejść, zatrzymują czas i starają się mu uważnie przyjrzeć. Siedzę na kuli ziemskiej z dłonią, na której wspiera się moja głowa. Jestem nagi, to ułatwia myślenie. Kolejne fragmenty skupiają się w jednym miejscu, czekają na deszcz słów, na kolejne niebezpieczne prozy. Są samodzielne i nie chcą mnie słuchać. Puściłem im wodze i tak pędzimy, stojąc w miejscu pomiędzy śmietnikiem wypełnionym zadrukowanym papierem a stołami zastawionymi dla licznych walczących z sobą konkurentów. Strzała przelatuje przez topory i zabija najsłabszych. Kolejność rzeczy i słów powraca do punktu wyjścia.